



EKRANIZACJA POWIEŚCI JUŻ W KINACH!

# NICHOLAS SPARKS

DLA CIEBIE  
WSZYSTKO

# 1

Dawson Cole zaczął mieć halucynacje zaraz po wybuchu na platformie, w dniu, w którym powinien był stracić życie.

Wydawało mu się, że przez czternaście lat, które przepracował na odwiertach, widział już wszystko. W 1997 roku na jego oczach pilot przed lądowaniem stracił kontrolę nad helikopterem. Maszyna spadła na platformę wiertniczą i stanęła w ogniu, a on doznał na plecach poparzeń drugiego stopnia, gdy ruszył z pomocą. Zginęło wtedy trzynastu ludzi, większość z nich jeszcze w helikopterze. Cztery lata później, kiedy na platformie przewrócił się dźwig, eksplodujące kawałki metalu wielkości piłki baseballowej niemal urwały mu głowę. W 2004 roku był jednym z nielicznych pracowników, którzy pozostali na miejscu, gdy w platformę uderzył huragan „Ivan”, wiejący z prędkością ponad stu mil na godzinę, a fale na morzu były tak wysokie, że nawet przemknęło mu przez myśl, aby wziąć spadochron, w razie

gdyby konstrukcja nie wytrzymała i runęła. Ale były też inne niebezpieczne sytuacje. Ludzie popełniali błędy, części urządzeń pękały, siniaki i rozcięcia były wśród ekipy na porządku dziennym. Dawson widział więcej złamanych kości, niż umiałby zliczyć, przeżył dwa poważne zbiorowe zatrucia pokarmowe, które powaliły całą załogę, a przed dwoma laty, w 2007 roku, patrzył, jak statek dostawczy po odpłynięciu od platformy zaczął tonąć — w ostatniej chwili przyszedł mu na pomoc kuter pobliskiej straży wybrzeża.

Jednakże ta eksplozja to było coś zupełnie innego. Ponieważ nie nastąpił wyciek ropy — tym razem mechanizmy bezpieczeństwa zadziałały — sprawa przeszła w ogólnokrajowych mediach prawie bez echa i po kilku dniach o niej zapomniano. Ale dla tych, którzy byli na miejscu, stała się przyczyną nocnych koszmarów. Rankiem wszystko przebiegało normalnie. Dawson monitorował stanowiska pomp, gdy nagle wybuchł jeden ze zbiorników na ropę. Zanim zdążył się zorientować, co się stało, siła eksplozji rzuciła go na sąsiedni barak. Później wszystko stanęło w ogniu. Na całej platformie pokrytej warstwą tłuszczu i ropy szybko zapanowało prawdziwe piekło. Zaraz potem wstrząsnęły nią dwa jeszcze większe wybuchy. Pamiętał, że wyciągnął dwóch ludzi z ognia, ale podczas czwartej, najsilniejszej eksplozji, drugi raz poszybował w powietrze. Później przypominał sobie mgliście, że leciał w stronę wody. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był zginąć wskutek upadku. Gdy jednak odzyskał przytomność, unosił się na wodach

Zatoki Meksykańskiej, mniej więcej dziewięćdziesiąt mil na południe od zatoki Vermilion w Luizjanie.

Jak większość innych nie zdążył włożyć kombinezonu ochronnego ani kamizelki ratunkowej, ale w wodzie, pomiędzy kolejnymi falami, dostrzegł ciemnowłosego mężczyznę, który machał do niego z oddali, jakby dawał mu znak, żeby do niego podpłynął. Dawson skierował się w jego stronę, przedzierając się przez fale, wyczerpany i oszołomiony. Ubranie i buty ciągnęły go w dół, i gdy zaczęły słabnąć mu ręce i nogi, już myślał, że utonie. Miał wprawdzie wrażenie, że jest blisko celu, ale z powodu wysokich fal nie widział dobrze i nie miał pewności. W tym momencie zauważył samotną kamizelkę ratunkową, która unosiła się w pobliżu, wśród szczątków platformy. Zdobył się na ostatni wysiłek, dopłynął do niej i uczeplił się jej. Później powiedziano mu, że przebywał w wodzie blisko cztery godziny i oddalił się od platformy prawie milę, gdy uratował go statek dostawczy, który szybko przyplłynął na miejsce wypadku. Dawson został wciągnięty przez burtę i zanieiony pod pokład, gdzie znajdowali się już inni rozbitkowie. Cały dygotał od hipotermii i był w szoku. Choć wzrok mu się mącił — później zdiagnozowano u niego lekki wstrząs mózgu — uświadomił sobie, jakie miał szczęście. Wokół siebie widział bowiem ludzi ze straszliwymi poparzeniami na ramionach i rękach, z krwotokami z uszu i połamanymi kośćmi. Większość z nich znał po imieniu. Na platformie niewiele jest miejsc, do których można by się udać — to w gruncie rzeczy taka mała

wioska na środku oceanu — więc prędzej czy później każdy w końcu trafiał do baru, sali rekreacyjnej albo siłowni. Ale jeden człowiek wydał mu się nieznajomy, mężczyzna, który patrzył na niego z drugiego końca zatłoczonego pomieszczenia. Ciemnowłosy, około czterdziestki, miał na sobie niebieską wiatrówkę, którą pewnie dał mu ktoś ze statku. Dawson pomyślał, że facet nie pasuje do tego miejsca, bo wyglądał raczej na pracownika biurowego niż fizycznego. On jednak pomachał do niego i nagle Dawson przypomniał sobie postać, którą widział w wodzie — to był ten sam człowiek — i nagle poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Zanim zdążył określić przyczynę tego niepokoju, zarzucono mu koc na ramiona i zaprowadzono w kąt, gdzie zbadał go lekarz pokładowy.

Gdy wrócił na dawne miejsce, ciemnowłosego mężczyzny już nie było.

W ciągu kolejnej godziny na pokład przybyli następni rozbitkowie, ale niewielu, i Dawson, ogrzawszy się, zaczął się niepokoić losem reszty załogi. Nigdzie wokół siebie nie widział ludzi, z którymi pracował przez tyle lat. Później dowiedział się, że zginęły dwadzieścia cztery osoby. Ciała większości z nich odnaleziono, ale nie wszystkich. I gdy leżał w szpitalu, mimowolnie myślał o tym, że wiele rodzin nie pożegnało się w sposób właściwy ze swoimi bliskimi.

Od czasu wypadku miał kłopoty ze snem, nie dlatego, że nawiedzały go koszmary, ale po prostu nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go obserwuje. Czuł się nawiedzony,

jakkolwiek śmiesznie to brzmiało. Dniem i nocą kątem oka dostrzegał ruch, ale gdy odwracał głowę, nie widział nikogo, kto mógłby ten ruch powodować. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie wariuje. Lekarz twierdził, że to reakcja na szok powypadkowy i że jego mózg jeszcze nie doszedł do zdrowia po wstrząsie. Brzmiało to sensownie i logicznie, ale Dawson miał wątpliwości. Mimo to pokiwał głową, słuchając lekarza. Ten wypisał mu receptę na środki nasenne, on jednak nawet jej nie zrealizował.

Gdy załatwiano kwestie prawne, dostał płatny urlop sześciomiesięczny. Potem, trzy tygodnie po zakończeniu urlopu, firma zaproponowała mu ugode, więc podpisał stosowne dokumenty. Do tego czasu zgłosiło się do niego z pół tuzina prawników, z których każdy aż się palił, żeby wystąpić do sądu z powództwa grupowego, ale on chciał mieć święty spokój. Przyjął oferowaną rekompensatę i jeszcze tego samego dnia zaniósł czek do banku. Mając na koncie wystarczająco dużą sumę, by w pojęciu niektórych uchodzić za bogatego, kazał przelać większość z tych środków na rachunek bankowy na Kajmanach. Stamtąd zostały przekazane na firmowe konto w Panamie, którego otwarcie wymagało minimum formalności, aż wreszcie trafiły do miejsca przeznaczenia. Jak zwykle praktycznie nie można już było ich wytropić.

Zatrzymał sobie z tego niewiele, tylko tyle, żeby starczyło na opłacenie czynszu i codzienne wydatki. Nie miał dużych potrzeb. Bo też i niewiele pragnął. Mieszkał w jednoosobowej

przyczepie stojącej na końcu bitej drogi pod Nowym Orleanem, i ci, którzy ją widzieli, za jej główną zaletę pewnie pocztytywali to, że nie została zmieciona przez huragan „Katrina” w 2005 roku. Z plastikową okładziną, która popękała i wyblakła, stała na tufowych blokach, tymczasowym fundamencie, który z czasem przybrał charakter stały. W przyczepie znajdowały się pojedyncza sypialnia i łazienka, ciasny salonik i kuchnia tak mała, że mieściła się w niej jedynie minilodówka. Ściany nie miały prawie izolacji, więc podłoga po latach wypaczyła się od wilgoci i Dawson czuł się tak, jakby chodził po kamieniach. Linoleum w kuchni pękało w kątach, mały dywan był już niemal wytarty, a całe wyposażenie pochodziło z wyprzedaży i było kompletowane przez długi czas. Ścian nie ozdabiały żadne zdjęcia. Choć Dawson mieszkał w tej przyczepie prawie piętnaście lat, traktował ją nie tyle jako dom, ile miejsce, w którym spał, jadł i brał prysznic.

Mimo wieku przyczepa była jednak tak czysta jak domy w Garden District. Dawson zawsze miał fioła na punkcie czystości i porządku. Dwa razy do roku naprawiał pęknięcia i uszczelniał wszelkie dziury, żeby do środka nie dostawały się gryzonie ani insekty, przed wyjazdem na platformę szorował podłogę w kuchni i łazience środkiem do dezynfekcji, a także opróżniał szafki ze wszystkiego, co mogło zgnić albo zapleśnieć. Przeważnie pracował trzydzieści dni z rzędu, a potem miał trzydzieści dni wolnego, więc tylko żywność w puszcze mogła przetrwać w nienaruszonym stanie

więcej niż tydzień, zwłaszcza latem. Po powrocie znowu szorował całą przyczepę od góry do dołu i wietrzył ją, żeby pozbyć się zapachu stęchlizny.

Jednakże miał tam spokój i tak naprawdę niczego więcej nie potrzebował. Przyczepa znajdowała się ćwierć mili od głównej drogi, a najbliższy sąsiad mieszkał jeszcze dalej. Po miesiącu spędzonym na platformie Dawson pragnął właśnie czegoś takiego. Jedną z rzeczy, do których nigdy się nie przyzwyczaił, był nieustanny hałas. Nienaturalny hałas. Począwszy od warkotu dźwigów, stale przenoszących coś z miejsca na miejsce, czy huku powodowanego przez helikoptery i pompy, aż po niekończące się walenie metalu o metal — ta kakofonia nie milkła ani na chwilę. Na platformie wydobywano ropę przez całą dobę, co oznaczało, że hałas nie ustawał nawet wtedy, gdy Dawson usiłował spać. Próbował go ignorować podczas tych trzydziestu dni pracy, ale po powrocie do przyczepy zawsze uderzała go panująca wokół błoga cisza, kiedy słońce stało wysoko na niebie. Rankami słyszał ptasi śpiew dochodzący spośród drzew, a wieczorami, po zmierzchu, dobiegało go synchroniczne cykanie świerszczy i kumkanie żab. Zwykle działało to na niego kojąco, ale od czasu do czasu dźwięki te przywodziły mu na pamięć rodzinny dom, a wtedy wracał do przyczepy, żeby odpędzić wspomnienia. W takich razach starał się skupić na prostych codziennych czynnościach, które wypełniały mu życie, gdy przebywał na stałym lądzie.

Jadł. Spał. Biegał i ćwiczył podnoszenie ciężarów, maj-



strował w samochodzie. Wybierał się na długie przejażdżki bez celu, bo nigdzie konkretnie nie jechał. Od czasu do czasu chodził na ryby. Czytał co wieczór i okazjonalnie pisywał listy do Tucka Hostetlera. I to wszystko. Nie miał telewizora ani radia, ale choć był posiadaczem telefonu komórkowego, na jego liście kontaktów znajdowały się jedynie numery służbowe. Robił zakupy — kupował głównie żywność — i raz w miesiącu zajeżdżał do księgarni, ale nie zapuszczał się do Nowego Orleanu. Od czternastu lat nie był na Bourbon Street ani we French Quarter; nie wypił kawy w Café Du Monde ani nie strzelił sobie hurricane'a w Lafitte Blacksmith Shop Bar. Zamiast w siłowni ćwiczył za przyczepą pod sfatygowanym brezentem, który rozpiął między swoim domem a pobliskimi drzewami. Nie chodził do kina ani do kumpla, żeby razem z nim oglądać mecze, gdy w niedzielne popołudnia grali Saints. Miał czterdzieści dwa lata i nie był na randce od czasów nastoletnich.

Większość ludzi nie chciałaby ani nie potrafiłaby tak żyć, ale nie znali Dawsona. Nie wiedzieli, jaki jest ani co zrobił, i to mu odpowiadało.

Pewnego ciepłego popołudnia w połowie czerwca odebrał telefon i wróciły do niego wspomnienia. Był na urlopie od prawie dziewięciu tygodni. Pierwszy raz od niemal dwudziestu lat musiał pojechać do domu. Ta myśl zakłóciła mu spokój, ale wiedział, że nie ma wyboru. Tuck był dla niego kimś więcej niż przyjacielem; był jego drugim ojcem. I w ciszy, gdy tak myślał o tamtym roku, który okazał się punktem

zwrotnym w jego życiu, Dawson znowu dostrzegł ruch w polu widzenia. Odwrócił się, ale niczego nie zauważył, i znowu przyszło mu na myśl, że wariuje.

\*

Zadzwonił do niego Morgan Tanner, prawnik z Orientalu w Karolinie Północnej, żeby powiadomić go o śmierci Tucka Hostetlera. „Są pewne sprawy, które musimy omówić osobiście”, oświadczył. Zakończywszy rozmowę, Dawson natychmiast zarezerwował miejsce w samolocie i pokój w tamtejszym pensjonacie, a potem zadzwonił do kwiaciarni i poprosił o dostarczenie tam wiązanki.

Następnego rana zamknął przyczepe, okrążył ją i skierował się do małej szopy, w której trzymał samochód. Był czwartek, 18 czerwca 2009 roku. Dawson wziął ze sobą jedyny garnitur, jaki miał, i worek żeglarski, który spakował w nocy, gdy nie mógł spać. Odemknął kłódkę i podciągnął harmonijkowe drzwi, patrząc, jak na wóz, który reperował i odnawiał od czasów szkoły średniej, padają promienie słońca. Był to fastback z 1969 roku, jeden z tych samochodów, które robiły wrażenie za prezydentury Nixona i wciąż budziły podziw. Wyglądał, jakby dopiero zjechał z linii montażowej, i przez te wszystkie lata mnóstwo nieznajomych chciało go od niego odkupić. Dawson jednak stale odmawiał. „To coś więcej niż tylko samochód”, odpowiadał krótko, nie wdając się w wyjaśnienia. Tuck by zrozumiał, o co chodzi.

Dawson rzucił worek żeglarski na fotel pasażera i położył

na nim garnitur. Potem usiadł za kierownicą i obrócił kluczyk w stacyjce. Gdy silnik zaskoczył z głośnym warkotem, wyjechał samochodem na żwirową alejkę, po czym szybko wysiadł, żeby zamknąć szopę. Robiąc to, przebiegł w myślach listę rzeczy, które musiał ze sobą zabrać, i upewnił się, że niczego nie zapomniał. Dwie minuty później mknął już główną drogą, a po półgodzinie wjeżdżał na parking długoterminowy pod lotniskiem w Nowym Orleanie. Nie lubił zostawiać samochodu w takich miejscach, ale nie miał innego wyjścia. Wziął bagaż i ruszył do terminalu, gdzie na stanowisku linii lotniczych czekał na niego bilet samolotowy.

Na lotnisku panował duży ruch. Mężczyźni i kobiety szli obok siebie ramię w ramię, rodziny wybierały się w odwiedziny do dziadków albo do Disney Worldu, studenci kursowali między domem a uczelnią. Biznesmeni w podróżach służbowych ciągnęli za sobą bagaż podręczny na kółkach i stukali w klawiatury telefonów komórkowych. Dawson stanął w wolno posuwającej się kolejce. Gdy znalazł się przy okienku, pokazał dowód tożsamości i odpowiedział na podstawowe pytania dotyczące zasad bezpieczeństwa, a potem odebrał karty pokładowe. Miał jedną przesiadkę w Charlotte, gdzie musiał czekać na połączenie niewiele ponad godzinę. Nie najgorzej. Po wylądowaniu w New Barn i odebraniu samochodu z wypożyczalni czekała go jeszcze czterdziestominutowa jazda. Zakładając, że nie będzie żadnych opóźnień, powinien być w Orientale późnym popołudniem.

Dopiero gdy zajął miejsce w samolocie, uświadomił sobie,

jaki jest zmęczony. Nie wiedział, o której godzinie w końcu zasnął — gdy spoglądał na zegarek, była prawie czwarta nad ranem — ale pomyślał, że prześpi się w samolocie. Zresztą po przyjeździe do miasteczka nie miał w nim co robić. Był jednakiem, matka odeszła, gdy miał trzy lata, a ojciec wyświadczył światu przysługę i zapił się na śmierć. Dawson od lat nie miał kontaktu z rodziną i nie zamierzał go odnawiać.

To miała być krótka podróż, tam i z powrotem. Załatwi, co ma do załatwienia, i wraca, nie zamierzał bowiem zostać dłużej, niż będzie to konieczne. Być może wychował się w Orientale, ale nigdy tak naprawdę nie czuł się tam u siebie. Miasteczko, które znał z dzieciństwa, było dla niego jedynie jak sielski obrazek z reklamy biura podróży polecającego je do zwiedzenia. W pamięci większości ludzi, którzy spędzili tam popołudnie, zapisywało się jako dziwna miejscowość, ciesząca się popularnością wśród malarzy, poetów i emerytów, którzy pragnęli spędzić jesień życia, żeglując po rzece Neuse. W Orientale znajdował się piękny urokliwy rynek, pełen sklepów z antykami, galerii sztuki oraz kawiarni, i odbywało się tam niewiarygodnie dużo festiwali jak na miasteczko liczące niespełna tysiąc mieszkańców. Jednakże prawdziwy Oriental, ten, który poznał jako dziecko i młody chłopak, był zamieszkanym przez ludzi, których przodkowie osiedli tu jeszcze w czasach kolonizacji. Ludzi takich jak sędzia McCall, szeryf Harris, Eugenia Wilcox czy Collierowie i Bennettowie, którzy mieli ziemię, uprawiali zboże, sprzedawali drewno i zakładali rozmaite przedsiębiorstwa.

Byli wpływowi i to oni rządili w miasteczku, które zawsze należało do nich. I robili wszystko, aby tak pozostało.

Dawson przekonał się o tym na własnej skórze, gdy miał osiemnaście lat, a potem znowu, gdy skończył dwadzieścia trzy lata. Wtedy odszedł stamtąd na dobre. Nigdzie w hrabstwie Pamlico Cole'om nie żyło się łatwo, a już na pewno nie w Orientale. Z tego, co wiedział, każdy z nich, aż po pradziadka, siedział w więzieniu. Byli skazywani za rozmaite przestępstwa, począwszy od napadu z pobiciem przez podpalenie aż po próbę zabójstwa i samo zabójstwo — bo kamienista, porośnięta drzewami farma, na której mieszkała ich liczna rodzina, była jak udzielne państwo rządzące się własnymi prawami. Stało na niej kilka rozpadających się chat, duże, wieloosobowe przyczepy kempingowe, szopy sklecone ze złomu oraz odpadów, i szeryf unikał tego miejsca jak ognia, chyba że już naprawdę nie mógł. Myśliwi także omijali tę ziemię szerokim łukiem, bo dobrze wiedzieli, że napis na tablicy granicznej: „Do osób wkraczających bezprawnie na ten teren będzie się strzelać”, to nie ostrzeżenie, ale zapowiedź. Wśród Cole'ów byli bimbrownicy i dealerzy narkotyków, pijacy, brutale bijący żony, ojcowie i matki stosujący przemoc wobec dzieci, złodzieje i sutenerzy, generalnie osoby przejawiające skłonność do przemocy. Według artykułu zamieszczonego w nieistniejącym już czasopiśmie uchodzili w swoim czasie za najgorszą, najniebezpieczniejszą, najbardziej mściwą rodzinę na wschód od Raleigh. Ojciec Dawsona nie był wyjątkiem. Jako

dwudziesto- i trzydziestolatek przeważnie siedział w więzieniu za różne przestępstwa, między innymi zabicie człowieka nożem do lodu po tym, jak ten zajechał mu drogę. Dwukrotnie stawał przed sądem za morderstwo i był zwalniany od zarzutów, ponieważ świadkowie zajścia znikali, tak że nawet członkowie rodziny wiedzieli, że lepiej z nim nie zadzierać. Jak to się stało, że matka za niego wyszła — na to pytanie Dawson nie potrafił odpowiedzieć. Nie winił jej za ucieczkę. Przez większość dzieciństwa miał ochotę zrobić to samo. Nie miał też do niej żalu, że nie zabrała go ze sobą. Cole'owie byli bardzo zaborczy wobec swojego potomstwa i wiedział, że ojciec prędzej czy później odnalazłby jego matkę i odebrał go jej. Mówił mu to nieraz i Dawson wolał nie pytać, co stary by zrobił, gdyby nie chciała oddać syna. Domyślał się odpowiedzi.

Ciekaw był, ilu członków rodziny mieszka jeszcze na farmie. Gdy w końcu odszedł, oprócz ojca pozostali na niej dziadek, czterech stryjów, trzy ciotki i szesnaścioro kuzynów. Kuzyni byli już dorośli i dorobili się własnych dzieci, więc pewnie miał więcej krewnych niż kiedyś, ale nie chciał nic o tym wiedzieć. Może był to świat, w którym się wychował, ale jak w wypadku Orientalu nie identyfikował się z nim. Prawdopodobnie miała z tym coś wspólnego jego matka, kimkolwiek była, bo na pewno nie czuł się jednym z nich. Jako jedyny spośród swoich kuzynów w szkole nie wdawał się w bójkę i miał dobre stopnie. Trzymał się z dala od narkotyków i alkoholu, i w okresie nastoletnim unikał

kuzynów, którzy rozbijali się po mieście, szukając guza — zwykle mówił im, że musi zajrzeć do destylatora albo pomóc rozebrać na części samochód ukradziony przez kogoś z rodziny. Chodził z pochyloną głową i starał się za bardzo nie rzucać w oczy.

To było jak chodzenie po cienkiej linii. Cole'owie może i byli bandą kryminalistów, ale to nie znaczy, że nie mieli swojego rozumu, i Dawson czuł intuicyjnie, że powinien kryć się ze swoją odmiennością. Był prawdopodobnie jedynym dzieckiem w dziejach szkoły, które uczyło się pilnie, aby nie zdać testu, i przeprawiało w dzienniku swoje stopnie na gorsze. Nauczył się po kryjomu wylewać piwo z puszki, dziurawiąc ją nożem, gdy ktoś z rodziny na moment odwrócił się do niego plecami, a żeby nie spotykać się z kuzynami, wymawiał się pracą i wracał do domu dopiero po północy. Przez jakiś czas to działało, ale potem fasada zaczęła pękać. Jeden z jego nauczycieli wspomniał popijającemu kumpłowi ojca, że Dawson jest najlepszym uczniem w klasie; ciotki i stryjowie zaczęli zauważać, że jako jedyny wśród kuzynów nie miał dotąd kłopotów z prawem. W rodzinie, która nade wszystko ceniła lojalność i solidarność, wyraźnie był odmieńcem, a trudno o większy grzech.

Budziło to wściekłość jego ojca. Choć Dawson był regularnie bity od wczesnego dzieciństwa — ojciec szczególnie lubił używać w tym celu pasa i rzemieni — to gdy skończył dwanaście lat, owo bicie nabrało charakteru osobistego. Ojciec tłukł go, aż plecy Dawsona robiły się

czarnosine, a po godzinie wracał i zabierał się do jego nóg i rąk. Nauczyciele wiedzieli, co się dzieje, ale ponieważ bali się o siebie i swoje rodziny, ignorowali problem. Szeryf udawał, że nie widzi sińców i pręg, gdy Dawson wracał ze szkoły do domu. Reszta rodziny się nie przejmowała. Abee i Szalony Ted, starsi kuzyni, sami naskakiwali na niego nieraz i bili go równie mocno jak ojciec — Abee uważał, że gówniarzowi się należy, a Szalony Ted po prostu dla hecy. Abee, wysoki, potężny, z łapami jak bochny chleba, był porywczy i brutalny, ale bystrzejszy, niż można by sądzić. Natomiast Szalony Ted był drobnej budowy. W przedszkolu poranił innego chłopca, dźgając go ołówkiem, gdy pokłócili się o ciastko, a w piątej klasie został w końcu wyrzucony ze szkoły, bo posłał do szpitala kolejnego kolegę. Plotka głosiła, że jako nastolatek zabił ćpuna. Dawson uznał, że lepiej nie podejmować z nimi walki. Nauczył się jedynie osłaniać przed ciosami, aż w końcu kuzyni się znudzili albo zmęczyli — a może jedno i drugie.

Jednakże nie angażował się w rodzinne interesy i coraz bardziej utwierdzał się w postanowieniu, że nigdy tego nie zrobi. Z czasem zauważył, że im bardziej krzyczy, tym mocniej ojciec go bije, więc mimo bólu zaciskał usta. Ojciec był wprawdzie brutalem, ale z rodzaju despotów, a Dawson czuł, że despoci wdają się tylko w te walki, które mają szanse wygrać. Wiedział, że kiedyś w końcu stanie się na tyle silny, żeby mu się przeciwstawić, a wtedy przestanie się go bać. Gdy spadały na niego ciosy, myślał o tym, jaką odwagą



wykazała się jego matka, przecinając więzy z rodziną.

Robił wszystko, co mógł, aby przyspieszyć proces dorastania i mężnienia. Przywiązywał wypchany szmatami worek do drzewa i walił w niego pięściami przez całe godziny. Podnosił kamienie i części silnika tak często, jak tylko miał okazję. Ćwiczył pompki, pompki i jeszcze raz pompki przez całe dni. Zanim skończył trzynaście lat, przybył na wadze dziesięć funtów, a rok później — jeszcze dwadzieścia. Jednocześnie rósł i rósł. W wieku piętnastu lat dorównywał już ojcu wzrostem. Pewnej nocy, miesiąc po jego szesnastych urodzinach, ojciec, który pił cały wieczór, podszedł do niego z pasem. Wtedy Dawson rzucił się na niego i odebrał mu pas. Zapowiedział ojcu, że zabije go, jeśli jeszcze kiedyś spróbuje go tknąć.

Tamtej nocy, ponieważ nie miał dokąd pójść, schronił się w warsztacie samochodowym Tucka. Kiedy Tuck zastał go tam nazajutrz rano, Dawson zapytał, czy nie mógłby dostać u niego pracy. Tamten nie miał powodu, żeby mu pomagać — chłopak był dla niego kimś obcym, a poza tym pochodził z rodziny Cole'ów. Wylał rękę w bandanę, którą wetknął do tylnej kieszeni spodni, i sięgając po papierosy, spojrzał Dawsonowi w oczy. Miał wtedy sześćdziesiąt jeden lat, był wdowcem drugi rok. Kiedy się odezwał, Dawson wyczuł w jego oddechu alkohol. Mężczyzna miał głos zachrypły od cameli bez filtra, które palił od dzieciństwa. Mówił z miejscowym akcentem, jak Dawson.

— Może i umiesz rozbierać samochody, ale czy potrafisz

składać je do kupy?

— Tak, proszę pana — odparł Dawson.

— Idziesz dziś do szkoły?

— Tak, proszę pana.

— To przyjdź tu po lekcjach. Zobaczymy, co umiesz.

Wrócił więc po szkole i wychodził ze skóry, aby pokazać, ile jest wart. Wieczorem, po pracy, padał deszcz i kiedy Dawson schował się przed nim w garażu, Tuck już tam na niego czekał.

Mężczyzna nic nie powiedział. Zaciągnął się tylko dymem z papierosa i popatrzył na Dawsona spod zmrużonych powiek. W końcu zabrał go do domu. Dawson nie spędził już ani jednej nocy na rodzinnej farmie. Tuck nie brał od niego pieniędzy za kwaterę, Dawson tylko sam kupował sobie jedzenie. Z upływem miesięcy po raz pierwszy w życiu zaczął myśleć o przyszłości. Oszczędzał, ile mógł; pozwolił sobie jedynie na kupno fastbacka ze złomowni i kupował olbrzymie kubki mrożonej herbaty w barze. Popijając herbatę, wieczorami po pracy remontował wóz i marzył, że pójdzie do college'u — jako pierwszy Cole. Myślał o tym, żeby wstąpić do wojska albo wynająć własny kąt, ale zanim się na coś z tego zdecydował, niespodziewanie pojawił się w warsztacie ojciec. Przyszedł z Szalonym Tedem i Abeem. Obaj kuzyni trzymali w rękach kije baseballowe, a Ted dodatkowo miał w kieszeni nóż — Dawson widział jego zarys.

— Dawaj forszę, którą zarabiasz — zażądał ojciec bez wstępów.

— Nie — sprzeciwił się Dawson.

— Wiedziałem, że tak powiesz. Dlatego przyprowadziłem Teda i Abeego. Albo po dobroci oddasz to, co jesteś mi winien za to, że dałeś nogę, albo oberwiesz.

Dawson milczał. Ojciec dłubał w zębach wykałaczką.

— Posłuchaj, wystarczy jedno przestępstwo w miasteczku, żeby skończyło się to twoje słodkie życie. Włamanie, może pożar. Kto wie? Podrzucimy dowód gdzie trzeba, zadzwonimy do szeryfa z anonimowym doniesieniem, a resztą zajmą się już przedstawiciele prawa. Jesteś tu w nocy sam, nie masz żadnego alibi, a jeśli o mnie chodzi, możesz gnść resztę życia za kratami, w betonowych ścianach. Nie będę płakał z tego powodu. Więc lepiej od razu daj forszę.

Dawson wiedział, że ojciec nie blefuje. Z kamienną miną wyjął pieniądze z portfela. Ojciec przeliczył banknoty, wypluł wykałaczkę na ziemię i uśmiechnął się krzywo.

— Do zobaczenia za tydzień.

Dawson nie miał wyjścia. Chomikował małe sumy ze swoich zarobków, tak że miał na dalszy remont fastbacka i mrożoną herbatę, ale większość pieniędzy przekazywał ojcu. Choć podejrzewał, że Tuck wie, co się dzieje, ten nic na ten temat nie mówił. Nie dlatego, że bał się Cole'ów. Po prostu uważał, że to nie jego sprawa. Zaczął jednak gotować dla siebie zbyt obfite posiłki.

— Nie dałem rady zjeść wszystkiego, więc jeśli masz ochotę... — mówił, przynosząc talerz do garażu. Częściej jednak zostawiał go i wracał do domu bez słowa. Taki był

między nimi układ i Dawson to szanował. Szanował Tucka. Na swój sposób stał się on najważniejszą osobą w jego życiu i Dawson nie wyobrażał sobie, żeby coś mogło to zmienić.

Aż do dnia, w którym w jego życie wkroczyła Amanda Collier.

Choć znał Amandę od lat — w hrabstwie Pamlico była tylko jedna szkoła średnia i chodzili do niej oboje — po raz pierwszy zamienili ze sobą więcej niż kilka zdawkowych słów wiosną w przedostatniej klasie. Dawson zawsze uważał ją za ładną, ale nie on jeden. Amanda cieszyła się ogólną sympatią, należała do tych dziewcząt, które w stołówce zawsze siedzą przy stole z koleżankami, a chłopcy zabiegają o ich uwagę; pełniła funkcję gospodarza klasy i była cheerleaderką. Jeśli wziąć pod uwagę także to, że pochodziła z bogatej rodziny, nie ulegało wątpliwości, iż jest dla niego równie nieosiągalna jak aktorka z telewizji. Nie rozmawiał więc z nią do czasu, gdy na zajęciach laboratoryjnych z chemii znaleźli się ze sobą w jednej parze, tworząc zespół.

Gdy wykonywali doświadczenia i uczyli się razem do testów semestralnych, zdał sobie sprawę, że Amanda nie jest wcale taka, jak myślał. Przede wszystkim to, że pochodziła z rodziny Collierów, a on z Cole'ów, nie miało dla niej znaczenia, co go zaskoczyło. Śmiała się swobodnie, krótkim śmiechem, a kiedy się uśmiechała, to łobuzersko, jakby wiedziała o czymś, o czym nie wiedział nikt inny. Włosy miała koloru miodu, oczy jak ciepłe letnie niebo i czasami, gdy pisali równania chemiczne w zeszytach, dotykała ramienia

Dawsona, żeby zwrócić na coś jego uwagę, a on potem czuł ten jej dotyk przez wiele godzin. Popołudniami, gdy pracował w warsztacie, zauważał, że ciągle o niej myśli. Przez całą wiosnę zbierał się na odwagę, żeby zaprosić ją na lody, a w miarę zbliżania się końca roku szkolnego spędzali ze sobą coraz więcej czasu.

Był rok 1984 i Dawson miał siedemnaście lat. Pod koniec lata wiedział już, że jest zakochany, a kiedy nastał chłód i liście zaczęły spływać na ziemię czerwonymi i żółtymi wstążkami, miał pewność, że — choć wydawało się to szaleństwem — chciałby spędzić z nią resztę życia. Byli ze sobą przez cały następny rok, czuli się sobie coraz bliżsi i spędzali razem każdą wolną chwilę. Przy Amandzie mógł być sobą; przy Amandzie zaczął cieszyć się życiem. Ale nawet wtedy myślał tylko o tym, że to ich ostatni wspólny rok.

Mówiąc dokładniej, myślał tylko o Amandzie.

\*

Dawson w samolocie przygotował się do lotu. Siedział przy oknie, mniej więcej pośrodku tylnej części kadłuba, obok młodej kobiety z rudymi włosami, po trzydziestce, smukłej i wysokiej. Nie w jego typie, ale dość ładnej. Sąsiadka nachyliła się ku niemu, gdy zapinała pas bezpieczeństwa, i uśmiechnęła się przepaszająco.

Dawson w odpowiedzi skinął głową, odniósł jednak wrażenie, że kobieta chce nawiązać rozmowę, dlatego wyjrzał przez okno. Patrzył, jak wózek, który przywiózł bagaże,

oddala się od maszyny, i zaczął myśleć o Amandzie, co często mu się zdarzało. Przypomnił sobie, jak tamtego lata chodzili popływać w Neuse — mieli śliskie ciała, gdy w wodzie ocierali się o siebie; albo jak Amanda przysiadła na ławie w warsztacie, podczas gdy on pracował nad swoim samochodem u Tucka: obejmowała ramionami podciągnięte kolana, a on myślał tylko o tym, że niczego bardziej nie pragnie, jak patrzeć tak na nią do końca życia. W sierpniu, gdy wreszcie po raz pierwszy udało mu się uruchomić wóz, zabrał ją na plażę. Leżeli na ręcznikach, trzymali się za ręce i rozmawiali o ulubionych książkach, filmach, które zrobiły na nich wrażenie, swoich sekretach i marzeniach dotyczących przyszłości.

Kłócili się także i Dawson się zorientował, że Amanda potrafi być zapalczywa. Kłótnie nie zdarzały im się często, ale też nie należały do rzadkości; co jednak godne uwagi, choć oboje szybko się zapalali w dyskusji, niemal równie szybko wracali do równowagi. Czasami szło o drobiazgi — Amanda zawsze miała swoje zdanie, nie można było temu zaprzeczyć — i przez chwilę sprzeczali się gwałtownie, zwykle nie dochodząc do porozumienia. W takich sytuacjach, mimo że naprawdę wpadał w gniew, nie mógł nadziwić się jej uczciwości, prawości biorącej się z tego, że zależało jej na nim bardziej niż na czymkolwiek w życiu.

Nikt z wyjątkiem Tucka nie rozumiał, co w nim widziała. Chociaż początkowo kryli się ze swoją znajomością, Oriental był małym miasteczkiem i ludzie w końcu zaczęli o nich

gadać. Przyjaciele odsuwali się od Amandy jeden po drugim i było tylko kwestią czasu, gdy jej rodzice dowiedzą się o wszystkim. Dawson był z Cole'ów, a ona z Collierów i to wystarczyło aż nadto, żeby wywołać ich sprzeciw. Najpierw łudzili się, że Amanda po prostu przechodzi okres buntu, i próbowali zachować spokój. Kiedy to nie odniosło skutku, poczynili stanowcze kroki. Zabrali córce prawo jazdy i zabronili korzystać z telefonu. Jesienią miała zakaz wychodzenia z domu przez całe tygodnie — nie wolno jej było umawiać się z nikim w weekendy. Dawson nie był do niej dopuszczany; ojciec Amandy nie mówił o nim inaczej jak „ten bezwartościowy biały śmieć”. Matka błagała ją, żeby zerwała tę znajomość, a w grudniu ojciec przestał się do Amandy odzywać.

Te trudności i sprzeciw otoczenia jednak tylko ich do siebie zbliżyły i kiedy Dawson publicznie brał ją za rękę, Amanda odpowiadała uściskiem, jakby to miało być wyzwanie dla wszystkich dokoła. Ale on nie był naiwny; chociaż tak wiele dla niego znaczyła, zawsze czuł, że to musi się kiedyś skończyć. Wydawało się, że wszystko i wszyscy sprzysięgli się przeciwko nim. Jego ojciec w końcu też dowiedział się o Amandzie i zapytał go o nią, gdy przyszedł po pieniądze. Choć nie posunął się do żadnych gróźb, Dawsonowi zrobiło się niedobrze, gdy usłyszał jej imię w ustach starego.

W styczniu Amanda skończyła osiemnaście lat, ale rodzice nie wyrzucili jej z domu, choć byli na nią wściekli. Jej jednak nie obchodziło, co sobie myślą — a przynajmniej tak zawsze

mówiła Dawsonowi. Czasami, po kolejnej awanturze z rodzicami, w środku nocy wymykała się przez okno swojego pokoju i biegła do garażu. On często czekał tam na nią, ale zdarzało się, że dźgała go łokciem, kładąc się obok niego na macie, którą rozkładał na podłodze w biurze. Potem szli razem nad potok i Dawson obejmował ją ramieniem, gdy siadali na jednej z niższych gałęzi starego dębu. W świetle księżycy, kiedy z wody wyskakiwały barweny, Amanda relacjonowała mu kłótnię z rodzicami — głos jej się przy tym łamał, ale zawsze starała się oszczędzać jego uczucia. On kochał ją za to, lecz dobrze wiedział, co myślą o nim państwo Collierowie. Któregoś wieczoru, gdy rozplakała się po kolejnej kłótni w domu, delikatnie zwrócił jej uwagę, że byłoby dla niej lepiej, gdyby przestała się z nim spotykać.

— Ty tego chcesz? — zapytała szeptem ze złością.

Przyciągnął ją do siebie i objął.

— Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa — odpowiedział cicho.

Przysunęła się do niego i oparła głowę na jego ramieniu. Gdy przytulał ją do siebie, nigdy bardziej nie żałował, że urodził się w rodzinie Cole'ów.

— Jestem najszczęśliwsza z tobą — powiedziała w końcu.

Tej nocy kochali się po raz pierwszy. I przez następne dwadzieścia lat nosił w sercu te słowa i wspomnienie tamtej nocy, bo mówiła wtedy za nich oboje — za siebie i za niego.